

O HANDLU Z DOZĄ WYOBRAŹNI

Współcześni biadają, że obecna moda przed kolana wyzbywa ze złudzeń i nie pobudza wyobraźni. Inaczej bywało w ubiegłym wieku — powiadają — kiedy zakryta spódnica nóżka zachęcała do fantazji.

Ryzykowna to być może aluzja do spraw, o których tu mowa. Znajduję jednak wspólny mianownik między... mini-spódniczką i statystyką oraz perspektywicznym planowaniem w naszym praktycznym wydaniu. I jedna i druga bowiem odkrywa prawdę, pozostawia mały margines do domysłów, przypuszczeń i fantazji. Ba, przy nagości liczb nie widzi się czasem oczywistych faktów, liczby paraliżują bowiem nie raz naszą wyobraźnię.

Informując o handlowych perspektywach Poznania za lat 17, kierownik Wydziału Handlu Prezydium RN Poznania mgr J. Schneider przełożył na język liczb główne kierunki rozwoju naszego miasta, które zawarte zostały w wydanej wcześniej broszurze. Czytamy w niej m. in.:

„Z powodu zwiększającego się spożycia ludności, bardziej dynamicznie rozwijać się będzie sieć handlowa. W tym celu dążyć się będzie do zmniejszenia zaplecza detalicznego, zapewnienia odpowiedniego rozwoju sieci barów szklanych obsługi oraz stołówek i bufetów w zakładach pracy. Handel detaliczny czeka zadanie przybliżenia się do konsumenta przez rozwój nowych form sprzedaży oraz pełniejsze wyposażenie asortymentowe bardziej niż dotychczas odpowiadające społecznym potrzebom. Rozbudowie ulec musi baza magazynowa handlu i zaplecze transportowe, warunkujące usprawnienie systemu zaopatrzenia”.

Sformułowania te, słuszne i konieczne w poznańskich warunkach nabywcy, sugerują niedwuznacznie wyraźną poprawę sposobu obsługi klienta. O tej obsłudze mówi również kierownik J. Schneider na łamach „Głosu” (*). Jednak opinia, jaką sobie wyrabia jego czytelnik, odbiega od optymizmu zawartego w broszurze. Za tamą — powtarzam słuszną — dyrektywą kierunków rozwoju nie idzie bowiem w parze odpowiadający jej zespół środków i przedsięwzięć, które trzeba przewidzieć w tych 17 latach. Przynałoby to sam przedstawiciel poznańskich władz.

Weźmy chociażby problem pewnych proporcji — rozwoju sieci sklepów oraz wzrostu sprzedaży w nich dokonywanej. W latach 1955—1965 sieć wzrosła o 110,3 proc. — jak stwierdza kierownik Wydziału Handlu — a obroty o 161,1 proc. Rozpiętość w tej dynamice była do przyjęcia, bowiem dopiero zaczęto wprowadzać nowe formy samoobsługi. Mamy teraz bieżącą pięciolet-

*) 530 lokali gastronomicznych i ponad 2100 sklepów — artykuł z dnia 3. I. 1969 r.

kę i planistyczne jej wskaźniki: sieć sklepów zwiększyła się o 13,7 proc., obroty zaś — o 36,4 proc. Wniosek prosty, że będziemy nadal wyciskać rezerwy organizacyjne z posiadanej sieci sprzedażowej. I na to zgoda, nie jest przecież nasz handel tak znakomicie zorganizowany. Pytanie tylko — jak będziemy wyciskać tę cytrynę? Już obecnie np. nasi handlowcy należą bodaj do najbardziej wydajnych (w obrotach na jednego sprzedawcę), co mimo oficjalnego zadowolenia władz poznańskich i dobrej marki w ministerstwie, nie wychodzi na zdrowie nabywcom, obsługiwanym coraz bardziej „seryjnie”. Jakże są przy tym warunki pracy sprzedawców!...

A teraz dowiadujemy się z informacji Wydziału Handlu, że do 1985 r. sieć sklepowa powiększy się o 43 proc., natomiast sprzedaż — aż o 192 proc. Nie lepiej z magazynowaniem. Mimo wzrostu powierzchni

Poznań 1985

dzięki budowie nowych magazynów, będzie to względnie statystyczna, bowiem dysproporcja między wzrostem zapasów w handlu a zdolnością ich przechowywania — pogłębia się. Przybędzie zatem przeszłości na drodze towaru do nabywcy. To już musi każdego zaniepokoić.

Niepokoje się też kierownictwo naszego handlu, ale z tego jeszcze niewiele wynika. Tutaj właśnie nieodczuwana okazuje się... wyobraźnia.

Jeśli bowiem istotnie nie może być dla Poznania więcej środków inwestycyjnych (nota bene problem raczej w tzw. możliwościach przerobu budowlanego), to trzeba sobie wyraźnie powiedzieć, że musimy pozostać na tym czym dysponujemy; wycisnąć więc cytrynę, ale raz — z innej strony.

Oto czytamy w wypowiedzi, że budowa nowych sklepów skoncentrowana będzie w przyszłości na dwóch osiedlach, Ratajach i Winogradach. Wyciąga się z tego statystyczny wniosek, że stwarza to „możliwość powiększenia przeciętnej wielkości każdego sklepu”. A właśnie — nie każdego, skoro się mówi o przeciętnej. Chodzi natomiast o to, by w tych trudnych inwestycyjnie warunkach powiększyć rzeczywiste każdy sklep, więc także w starym centrum miasta i na peryferiach.

Jak tego dokonać? Są sprawdzone sposoby które należy wydobyć spod sterty akt i odważnie je stosować. Stara czechka Praga np. ma wiele nowoczesnych sklepów dzięki łączeniu małych pomieszczeń, ma wiele domów towarowych, powstałych z



umiejętnego rezygnowania z handlowego wszytkoizmu i koncepcji specjalizacji sprzedaży. W Berlinie doprowadzono ją do perfekcji, w jednym dużym magazynie sprzedaje się nawet „tysiąc małych rzeczy”, nie mówiąc o innej stosowanej specjalizacji np. tylko w plastikowych drobiazgach. Znowu warszawski CDT tak dalece poszedł na wąską branżowość sprzedaży, że robi interes sprzedając w jednym stoisku tylko spodnie męskie, w innym tylko koszule itp. Taka specjalizacja zmusza do pełnego prezentowania asortymentu towarów z wybranej dziedziny. Daje to nabywcy możliwości wyboru.

A zatem duże wyspecjalizowane sklepy, powstałe z łączenia kramików, prowadzone według nowoczesnych form sprzedaży — to w naszych obecnych warunkach jedna z szans pomyślnych zakupów. Nie myśląc o tym, to dać się zwieść uludzie przeciętnej statystycznej.

Mamy możliwości. Ileż to małych sklepów pod różnymi szyldami sąsiaduje ze sobą w centrum. Ileż tu nieporządku, przypadkowości, jak w tej kuchni z sześciu kucharek. W kapitalnym centrum obok „okrągłaka” są dwa ładne sklepy sprzedające aparaturę, którą z powodzeniem można zbywać nawet na przedmieściu. Obok zlokalizowano półserijną produkcję ciuchów z Roxany, nieco dalej jest jakiś sprzęt techniczny...

Jest co wycisnąć z tak nabrzmiałej cytryny. Nie ukrywamy, wymagając to będzie koordynacyjnych zabiegów, bolesnych organizacyjnych przedsięwzięć. Mają one jednak znaczny wpływ na model naszego handlu. Nic nie powiedziano na ten temat, a przecież jakie jest inne wyjście z sytuacji określonej cytowanymi liczbami?

Wracając do Rataj i Winograd... Mówi się w informacji kierownika Wydziału Handlu, że „należy też przewidywać możliwość powstawania w tych rejonach nowych centrów handlowych, w których pobudowane zostaną supersamy i supermarkety”. Jakże to — możliwość czy konieczność? Zbyt nieśmiało stawiamy tutaj kapitalny problem — ogólnych koncepcji handlowego oblicza miasta. Co będziemy kupować w swej dzielnicy, a co w rzeczywistym centrum Poznania? Jakże to będą sklepy, jak ukształtujemy ciągi handlowe w centrum i dzielnicach? Chcielibyśmy to wiedzieć, bo trzeba o tym już dzisiaj przesądzić, żeby w przyszłości nie pogłębić rosnących dysproporcji w handlowym i urbanistycznym zagospodarowaniu miasta. Musimy więc wywrzeć poza statystykę i liczbę. Mam do nich szacunek, ale zachęcam do dalszej dyskusji — z dozą większej wyobraźni.

Chudy rok i obiecujące perspektywy

Kinematografia polska

Ubiegły rok nie należał w kinematografii polskiej do najszcześliwszych, mówiono wręcz o kryzysie. Pamiętamy dobrze burzliwą dyskusję na temat tego kryzysu z pierwszego półrocza 1968. Wywrócono wtedy na nice wszystko, co filmu dotyczy od wykazania istotnych braków szkolnictwa filmowego po niedo magania organizacyjno-techniczne produkcji filmowej. Najwięcej jednakże uwagi poświęcono sprawom treści filmów, krytykując zwłaszcza to, że zbyt rzadko podejmowały one temat współczesny, zbyt rzadko pokazywały nasz kraj, jego ludzi i ich dzień dzisiejszy w całej złożoności tego wszystkiego, w czym jesteśmy zanurzeni, czym na co dzień żyjemy.

Niedomagania kinematografii uwi doczniły się oczywiście na ekranach kinowych w tym, co nam w ubiegłym roku do obejrzenia zaprezentowano. Już liczba premier świadczyła o tym, że coś niedobrze się dzieje. Było tych premier 16, w tym jednak aż trzy stanowiły składanki złożone z krótkich filmów wyprodukowanych dla telewizji i pokazanych wcześniej na małych ekranach oraz dwa dokumentalne. Rzecz jasna licba nie świadczy jeszcze o jakości i gdyby wśród ubiegłorocznych premier znalazło się kilka filmów wybitnych nie byłoby powodu do alarmu. Niestety, dzieła na miarę światową nie można odnotować ani jednego, a co najważniejsze — temat współczesny (czyli filmy o istotnych sprawach naszego kraju w ubiegłorocznym repertuarze należały do rzadkości. Owszem, kilka obrazów temat ten podejmowało, ale były one albo zdecydowanie źle zrobione, albo też problematyka w nich zawarta stanowiła margines naszego życia.

Kinematografia polska przekazała do rozpowszechniania mniej więcej dwie trzecie tego, co średnio przekazywała w ciągu szeregu lat poprzednich. Przyjrzyjmy się bliżej tej produkcji. Na czoło wybija się „Żywot Mateusza” Leszczyńskiego, dość zgodnie uznany przez krytykę za najlepszy film roku. Tym to cenniejsze, że dotyczy debiutu. Jednakże obraz daleki jest od naszych spraw współczesnych. Jest to jakaś historia ponadczasowa i ponad narodowa (nie wiadomo właściwie, gdzie się dzieje), jest to film „arty stowski”, niezaangażowany, choć formalnie bardzo dobry. A więc raczej obietnica na przyszłość ze strony zdolnego reżysera niż spełnienie nadziei.

Dwa filmy zdobyły szeroką publiczność, były rekordy frekwencji, robiły kasę. „Hrabina Cosel” Antczaka i „Lalka” Hasy. Oba kostiumowe, oba historyczne, dalekie naszym czasom i niestety nie próbujące też powiedzieć czegoś nowego o naszej historii. W pierwszym przypadku można chyba wręcz mówić o pomyłce repertuarowej. Dlaczego z bogatej twórczości Kraszewskiego wybrano akurat powieść o dworze saskim, w której Polska i jej sprawy odzyskują się zaledwie dalekim echem trudno doprowadzić do zrozumienia. „Lalka”, mimo powodzenia u publiczności (spowodowanego chyba popularnością książki Prusa), nie może być uznana za większe osiągnięcie artystyczne. Zwaszcza społeczny obraz Warszawy z czasów Prusa spotkał się z ostrą krytyką, jako że twórca istotnie zbagatelizował problem możliwości pełnego ukazania stosunków społecznych owych lat (co tak świetnie zrobił Prus), idąc w kierunku melodramatu „z życia wyższych sfer”. Oczywiście film ten nie jest pozbawiony walorów, zwłaszcza w warstwie aktorskiej, a takie postacie jak Wokulskiego czy Izabelę Łęcką na zawsze pozostaną w naszej pamięci we wcieleniu Mariusza Dmochowskiego i Beaty Tyszkiewicz.

Tak więc z trzech najgłośniejszych i — mimo wszystkie zastrzeżenia — najlepszych filmów roku, żaden nie jest filmem współczesnym.

Z innych chciałoby się przypomnieć „Julie, Anne, Genowefę” Sokolowskiej, film ambitny i interesujący, apel bardzo daleki od doskonałości, „Weekend z dziewczyną” Nasfetera — dramatyczny temat z czasów okupacji, zrealizowany jednak wybitnie antydrmatycznie, „Ostatni po Bogu” Komorowskiego — najbliższy chyba współczesności, udający dramat psychologiczny, ale bez powodzenia, „Wilcze echa” Scibor-Rylskiego, coś w rodzaju rodzimego westernu, ale bez dynamiki właściwej dla tego gatunku. Cóż poza tym? O „Tabliczkach marzenia”, „Poradnikach matrymonialnych” i tym podobnych obrazach nie chce się nawet wspominać.

Pozostaje do odnotowania trójka składankowych telewizyjnych wziętych filmów: „Komedie pomyłek”, „Świat grozy”, „Cztery pancerni i pies”. Od początków istnienia telewizji wiadomo, że z powodzeniem dają się tam wykorzystywać filmy produkowane z myślą o dużym ekranie. Nigdy jednak nie robi się odwrotnie, zwłaszcza po pokazaniu w TV. Specyfika małego ekranu bezdłotnie daje o sobie znać kompromitując rzeczy, które nawet dobrze sprawdziły się w telewizji. Po co próbować takiego ryzykownego eksperymentu?

Wreszcie wypada zauważyć dwa interesujące filmy dokumentalne, które w świetle były na normalnych seansach w kinach: „Rok Franka W.” Karabasa i „Za waszą i naszą wolność” Machnacza i Perskiego. Żaden z nich nie miał jednak pełnego metrażu, i niestety, żaden nie zdobył większej widowni, choć ich walory poznawcze i ideowe były niewątpliwe. Nasi kinomani jeszcze się w tego rodzaju twórczości nie rozsmakowali.

Tak więc bilans jest — nie da się ukryć — mizerny. Wszakże nie jest on pełny. Albowiem to, co pokazano w kinach nie daje jeszcze całego obrazu produkcji 1968 roku. Wiadomo nam o wielu filmach, które bądź są gotowe do rozpowszechniania bądź też prawie gotowe. I tak ukończona została epopeja „Kierunek Berlin” Passendorfera, obrazująca z wielkim rozmachem gigantyczny wysiłek polskiego żołnierza przegniatającego hitlerowską bestię w jej legowisku, ukończone są filmy tużów naszej kinematografii jak na przykład „Wszystko na sprzedaż” Wajdy. Gotowe są także interesujące pono filmy Jeannota „Człowiek z M-3”, Rózewicza „Samotność we dwoje”, debiutanta Włodziecha Solarza „Molo” i drugiego debiutanta Władysława Ślesickiego „Ruchome piaski”. Nie długo też zobaczymy zrobiony zasadniczo w 1968 r. film Hoffmana „Pan Włodysławski”. W ogóle gotowych jest 7 filmów 4 dalsze są w fazie końcowej, a w okresie zdjęć aż 9.3

Dokończenie na str. 2

Kariera Franza Josefa Straussa

Geniuszem w skórzanych portkach — jak go z pewną dozą ironii nazywają niektóre gazety zachodnioeuropejskie — jest Franz Josef Strauss. „Geniuszem” jest, albowiem z rzeźniczego syna potrafił dojść do najwyższych stanowisk w NRF i mimo parokrotnych dotkliwych porażek — awansować do rangi... kandydata na kanclerza. Ubierając go w skórzane portki dlatego, że Strauss, dobry psycholog — chętnie sam je zakłada, aby w ten sposób pokazać się z bawarskimi góralami, dla których owe portki są strojem regionalnym.

Czy Strauss szef CSU i minister finansów NRF, sięga rzeczywiście po fotel kanclerski?

W przedświatacznym tygodniku zaprzeczył temu w wywiadzie dla brytyjskiej telewizji ITN.

Oto dosłowny tekst wymiany zdań na ten temat pomiędzy Strausssem a reporterem ITN — Peterem Snowem:

Snow: Czy zostalby pan chętnie następnym kanclerzem Niemiec (zachodnich)?

Strauss: Chętniej postarałbym się o farmę ananasów na Alasce.

Snow: Czy myśli pan tak naprawdę?

Strauss: Tak, tak właśnie myślę.

Snow: Czemu nie chce pan zostać kanclerzem?

Strauss: A z jakiej racji miałbym tego chcieć?

Nikt w NRF ani poza jej granicami, w te zaprzeczenia bawarskiego fuhrera nie uwierzył po prostu dlatego, że już od miesięcy w sposób jednoznaczny i łatwo dostrzegalny pan minister finansów prowadzi manewry, które mają go zawieść do pałacu kanclerskiego.

Przed wszystkim zjednoczył się z Kiesingerem, aby pozbyć się wspólnego dla obu konkurenta, obecnego ministra obrony Schroedera. Schroeder został więc wybrany na kandydata chadeckiego prezydenta. Sam fakt kandydowania, nawet gdyby prezydentem NRF został nie

chadek, lecz socjaldemokrata, minister sprawiedliwości — Heinemann utrudniłby ministrowi obrony po wyborach parlamentarnych w 1969 r. próbę ponownego kandydowania, tym razem na szefa rządu. Ale na wszelki wypadek Strauss ostrą atakuje Heinemanna aby broń Boże mu się nie poszczęściło. Atakuje go przede wszystkim za to, że domaga się anulowania ustawy o przedawnieniu zbrodni hitlerowskich z dniem 31 grudnia 1969 r. A prócz tego, że był kiedyś...

Andrzej Kobus

Geniusz w skórzanych portkach

chadekiem i z CDU przeniósł się do SPD (zdrajcą!)

Ale przywódca CSU krytykuje nie tylko Heinemanna. Sam lub za pośrednictwem swoich podwładnych a także swego organu prasowego „Bayern Kurier” — bije jak w bębny w Brandta i jego politykę zagraniczną. Od miesięcy atakuje też koalicję CDU/CSU — SPD, dowodząc na konwentykach chadeckich, że „Murrzyn zrobił swoje, Murrzyn może odejść”. To znaczy odejść może SPD, która uratowała chadeckie od słomianej kompromitacji po nieudanych radach Erharda. Przy okazji dostaje się Kiesingerowi, który był twórcą i wciąż jest zwolennikiem (z zastrzeżeniami) koalicji z SPD.

Nie na tym jednak koniec. Zwróćmy uwagę na wzmagające się akcentowanie przez Straussa nacjonalizmu. Po raz pierwszy od 1945 r. odważył się na zjeździe CSU w Monachium bez ogró-

dek nazwać swoją partię konserwatywną. Właśnie ta deklaracja zyskała mu aż 95,4 proc. głosów delegatów na zjazd. I bez tego zostałby przewodniczącym CSU, ale na pewno mniejszą większością.

Zwróćmy jeszcze uwagę, że Strauss, choć nie zaprasza wprost NPD, aby w przyszłym parlamencie głosowała nań jako na kanclerza, odpowiada tej neofaszyistowskiej partii taką właśnie decyzją. Przecież nie jest tylko — jak narodowi — demokraci — „konserwatyści”, nacjonalista, ale jest też — „w imię demokracji” — przeciwny... delegacji NPD. Wraz z tą partią głosi, że Niemców nie można oskarżać o wywołanie II wojny światowej. Jest przeciwny procesom zbrodniarzy hitlerowskich, odrzuca wszelką myśl o uznaniu granicy na Odrze i Nysie. I co także charakterystyczne — jest jednym z najbardziej zajadłych w NRF przeciwników podpisania przez rząd bawarski układu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej, a jednocześnie domaga się utworzenia zachodnioeuropejskiej siły atomowej, to znaczy wprowadzenia NRF do „Klubu atomowego” kuchennymi schodami.

Prasa zachodnioniemiecka i zachodnioeuropejska sporo pisze o zachowaniu się Straussa w ostatnich dniach ub. r. Na prawo i lewo rozdała on wywiady, oprócz wspomnianej już brytyjskiej telewizji trafił też do „Times’a”, „Daily Mirror” — jak i do pisma EWG: „Europejskie Wspólnoty”. Wszędzie kreślił przyszłość tak, jakby już siedział w fotelu kanclerskim i miał prawo decydowania o losie NRF i współdecydowania o losie Europy.

O losie Europy Strauss rzeczywiście chciałby współdecydować. Przypomnijmy jak zachował się w Bonn w czasie wielostronnych pertraktacji na temat losu franka. Odrzucił wtedy rewolucję marki, ale parł do dewaluacji franka. W ten sposób udokumentował zgodność ze swymi starymi tezami że NRF „kolos gospodarczy”, może i powinien przestać być karłem „politycznym”. NRF pokazała pazury. Strauss zasługę przypisuje sobie i snuje teraz laskawie we wspomnianych pismach plany integracji zachodnioeuropejskiej, oczywiście pod hegemonią NRF.

Lekarz w buszu afrykańskim

Poznałem świat, który całkowicie wymyka się naszej europejskiej wyobraźni. Przygotowałem się do wyjazdu dwa lata, studiowałem pilnie wszelkie dostępne mi materiały, a rzeczywistość okazała się zaskakująco inna. Na początku ogarnęło mnie przerażenie, dziś wiem, że przy najbliższej nadarzającej się okazji pojechałbym tam znów.

Dr Antoni Zamorski, delegowany przez „Polserwis” spędził w Ugandzie trzy lata. Twierdzi, że opowieści każdego z sześciu wysłanych wraz z nim lekarzy mogłyby zawierać mnóstwo sprzecznych opinii. Uganda to kraj terytorialnie trochę mniejszy od Polski, zamieszkały przez około osiem milionów ludzi, ale te osiem milionów dzieli się na kilkadziesiąt żyjących odrębnie szczepów. Praktycznie trudno mówić o narodzie ugandyjskim, skomplikowany proces integracyjny potrwa pewnie dość długo.

— Intuicyjnie rozumiem pańskie przeżycie przy pierwszym zetknięciu z Afryką Równikową, ale przyczyn ledwie się domyślam. Może najpierw — co pan tam zastał jako lekarz?

— Zastałem nowoczesny i świetnie wyposażony szpital w Kampali, stolicy Ugandy — dar królowej angielskiej przekazany w związku z przyznaniem niepodległości państwu ugandyjskiemu. Dar chyba mocno spóźniony i bynajmniej nie rekompensujący zaniedbań okresu kolonialnego. Szpital prowincjonalny, do którego mnie skierowano, mieścił się w barakach. Pacjenci leżeli dosłownie nie tylko na łóżkach ale i pod łózkami. Jako jedyny chirurg pełniłem dyżur właściwie przez całą dobę. Rano dokonywałem zabiegów, w tym czasie mój asystent-felczer przyjmował pacjentów, których znajdowało się 300-400 dziennie. W prostych przypadkach sam zapisywał leki, poważniejsze pozostawiał do mojej decyzji. Kiedy wychodziłem ze szpitala do domu, to i tak z przekonaniem, że niebawem zostanę ponownie wezwany.

— Wymienił pan dużą liczbę pacjentów, którzy — jak wnioskuję — przy najmniej w większości przychodzili do szpitala wprost z buszu. Zastanawiam się, skąd bierze się ich zaufanie do lekarza, dlaczego nie idą do czarowników lub znachorów skoro nawet w Polsce utrzymuje się jeszcze tu i ówdzie wiara w magiczne leczenie?

— O, niestety, w Ugandzie w przypadku rozpoznanych chorób tropikalnych lekarz jest z reguły „drugą instancją” po czarowniku. Ogromnie to utrudnia leczenie, bo pacjenci przybywają w opłakanym stanie. Na szczęście Afrykańczycy z buszu już wiedzą, że czarownicy są bezradni wobec przepukliny, gangreny i zewnętrznych obrażeń ciała. Z tym idą od razu do lekarza. W Ugandzie przekonałem się, że najgorzej goi się rana od ugryzienia przez... człowieka.

— Jak ludzie z buszu reagowali na skuteczną pomoc lekarską?

— Zewnętrznie nie okazują żadnych uczuć, co nie znającego ich natury lekarza nawet trochę zniechęca. Ale przekonałem się później wielokrotnie, że na długo zachowują szczerą wdzięczność. Z odległości stu kilkudziesięciu kilometrów przychodzili z upominkami — na przykład z rzeźbami, które wykonują z nieprawdopodobnym talentem.

Dr Zamorski pokazuje przywiezione pamiątki: rzeźby, broń, ozdoby, przedmioty codziennego użytku.

CIĘKAWI LUDZIE CIĘKAWY SPRAWY

Zwraca uwagę na mahoniowe meble — zrobiono je ze skrzyń, w których przywiózł do kraju swój dobytek. Opowiada o ciężkim oszczerpie do polowania na słoń — człowiek z takim oszczerpem kładzie się na ziemi w wąskim przejściu, a gromada myśliwych nagania na niego słoń. W odpowiednim momencie leżący wbił słońowi oszczerp w brzuch. Sam często przy tym ginie, ale za tę wysoką cenę dostarcza pożywienia dla całej wsi.

— Panie doktorze, jak w ogóle można zorganizować służbę zdrowia w buszu, wśród wędrujących plemion?

— Na pewno niełatwo. Cała służba zdrowia podlega bezpośrednio ministerstwu. Nie ma sensu tworzenie jednostek pośrednich, skoro w Ugandzie, wówczas gdy ja tam byłem, pracowało 150 lekarzy rządowych (prócz nich są lekarze misyjni). W miejscowościach, które w przybliżeniu

stanowią odpowiednik naszych miast wojewódzkich znajdują się szpitale, są ambulatoria powiatowe oraz placówki felcherskie w większych osadach w buszu. Oczywiście pojęcia województwa i powiatu używam tu bardzo umownie.

Każdy pacjent nosi swoją kartę zdrowia przy sobie i wręcza ją zgłaszając się do lekarza. Przechowywanie kartotek w szpitalach miało by się z celem wobec ustawicznych wędrowek plemion. Leczenie i leki są dla Afrykańczyków bezpłatne.

Lekarze to przeważnie obcokrajowcy — zetknąłem się z Anglikami, Rosjanami, Holendrami, Amerykanami, Norwegami, Koreańczykami. Są i lekarze Afrykańczycy, którymi rząd stara się obsadzić kluczowe stanowiska w administracji służby zdrowia.

Zeby lepiej zrozumieć wszelkie kłopoty, z jakimi styka się lekarz w Ugandzie, powiem, że musiałem radzić sobie z przypadkami laryngologicznymi, bo jedyny w Ugandzie laryngolog pracuje w stolicy. Ponad to byłem biegłym sądowym. Trzeba przyznać, że autorytet lekarza w Ugandzie odpowiada ogromowi powierzonych mu obowiązków.

— A warunki życia?

— Mieszkaliśmy z rodziną w osobnym domku z wszelkimi wygodami. Bałem się chorób tropikalnych, ale ustrzegaliśmy się ich — poza malarią. Uganda leży na płaskowyżu około 1000 metrów nad poziomem morza, więc i upały tropikalne nie dokuczały nadmiernie. Jaszczury i węże dziesiątkami zabijałyśmy w naszym ogrodzie, ale do nich można się też przyzwyczaić, podobnie jak do znaków drogowych „słońce mają pierwszeństwo”. Afrykanie pamiętni krzywd wyrządzonych im przez kolonizatorów odnoszą się do białych z rezerwą. Za to gdy przekonają się, że ktoś jest inny niż ich krzywdziciele, darzą go głęboką przyjaźnią.

O Polsce w Ugandzie wiedzą bardzo niewiele, ale interesują się żywo. Wygłaszałem cykl pogadanek o naszym kraju w szkole średniej w miejscu mojej pracy. Wypytywali przede wszystkim, czy Polska leży daleko od Anglii. Wielu naszych spraw nie rozumieją, jak my nie rozumiemy ich, ale starają się zrozumieć i za każdy gest przyjaźni odpowiadają takim samym gestem.

Rozmawiał

WOJCIECH BURTOWY

Chudy rok i obiecujące perspektywy

Dokończenie ze str. 1

scenariusze skierowano już do produkcji, a 12 jest zatwierdzonych. To pozwala przypuszczać, że w tym roku światła ekranu ujrzy znowu ponad 20 filmów fabularnych, jak to poprzednimi laty bywało.

Jednakże to, o czym wiemy, nie pozwala mieć większych nadziei na właściwe potraktowanie naszej współczesności, co w końcu jest najważniejsze nie tylko dla widzów, ale i dla samych twórców.

Albowiem siła danej kinematografii tkwi właśnie w tym, na ile ona potrafi dźwignąć sprawy swojego narodu, sprawy, którymi żyje on dziś. Pamiętajmy, że największe sukcesy odnosił polski film wtedy, gdy żył współczesnością (sukcesy tzw. „szkoły polskiej”). Pamiętajmy o sukcesach filmu czechosłowackiego z ostatnich lat, czy ostatnich świetnych filmach węgierskich. Mówiły one o najistotniejszych sprawach tych narodów, zwłaszcza zaś o sprawach dnia dzisiejszego. Tylko takie filmy interesują świat, tylko takie mogą przynosić sukcesy.

Tymczasem zaś pracuje się nadal nad programem rozwoju kinematografii polskiej, określa się zadania tematyczne filmu fabularnego, a tak że perspektywy ilościowego rozwoju

produkcji. Modernizacja i rozbudowa bazy produkcyjnej (w tym budowa nowej, wielkiej wytwórni w Warszawie), modernizacja i rozbudowa kin — oto inne ważne sprawy nad którymi pracują władze kinematografii. Dokonuje się — generalnie biorąc — dokładnej analizy wniosków z dyskusji przedjazdowej, by przetworzyć je w konkrety. Zespoły realizatorów filmowych zostały ustawione na zdrowszych podstawach. Świat filmowy przeszedł wstrząs, którego rezultaty dadzą o sobie znać być może już w tym roku. To jeszcze jeden powód do optymizmu.

MIECZYSLAW SKĄPSKI



Z bogatego dorobku plastycznego Stanisława Wyspiańskiego zachowały się piękne autoportrety, których wykonał kilkanaście. Oto Wyspiański z żoną, ubraną w wiejski gorset z koralami na szyi (1904 rok).

CAT

Rok Wyspiańskiego

Ogłoszenie przez Światową Radę Pokoju roku 1969 rokiem Stanisława Wyspiańskiego, napawa nas, rodaków wielkiego artysty niekłamana dumą. Cały cywilizowany świat złoży hołd człowiekowi, którego nazwisko, w niejednym języku trudno wymówić...

Stulecie urodzin Wyspiańskiego nakłada na Ministerstwo Kultury i Sztuki oraz Ogólnopolski Komitet Obrońców Pokoju podwójny obowiązek: pokazanie w pełnym blasku całego dorobku artysty Europy i świata, oraz nadanie uroczystościom krajowym rangi odpowiadającej geniuszowi artysty.

Zacznijmy od tego pierwszego. Pomyślano o plakatach, medalu pamiątkowym i filmie oświatowym, które to elementy mogą być spożytkowane i na eksport i pro domo sua. Międzynarodowym językiem jest język plastyki. Bogate i jakże wielostronne dzieło plastyczne St. Wyspiańskiego, na które składają się obok powielanych w tysiącach reprodukcji prace malarzkie, również witraże, szkice scenograficzne, czy grafika ilustrująca książki, najlepiej przemówić może do zagranicznych odbiorców. Z myślą o nich Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe przygotowały w kilkunastu językach barwny album opatrzone krytycznym studium o Wyspiańskim.

Bardziej skomplikowana jest popularyzacja ogromnej spuścizny dramatycznej. Wszak dramaty Wyspiańskiego są tak nierozważalnie związane z Polską, jej historią i legendą, z jej kolorystą i obyczajem, że ich odbiór za granicą musi napotykać nie lada rafa. A jednak...

Wyspiańskiego — jako „artystę teatru”, wielkiego reformatora sceny poznała Europa już z początkiem bieżącego stulecia. Artykuł poświęcony dziełu teatralnemu autora „Wyzwolenia” i „Achilleis” ukazał się w 1909 r. na łamach „The Mask”, pisma redagowanego przez jednego z najgłośniejszych ludzi teatru, Gorgona Craiga. Artykuł ten napisał młodziutki wówczas Leon Schiller. Tak oto określił on Stanisława Wyspiańskiego... „był poetą-dramatykiem, malarzem, rzeźbiarzem i konstruktorem, reżyserem i inscenizatorem, kierownikiem artystycznym teatru i jego ideologiem — w jednej osobie... zgłębił całą umiejętność teatru i posiadał wszystkie jego rzemiosła... wszystko czego się tknął, na czym oko jego spoczęło, stawało się teatrem”.

Przypomnijmy mniej wtajemniczonym, że przed Wyspiańskim spektakl teatralny był popisem gwiazdy wieczoru. Wyspiański natomiast wiedziony odkrywcą, nowatorską pasją stopił w jedną całość elementy teatralnego wyrazu: sprawę scenograficzną, kostium, efekty muzyczne, podporządkowując je zmysłowi inscenizacyjnemu. Jego zasługi w tej dziedzinie dla teatru europejskiego i światowego można więc teraz przypomnieć na forum międzynarodowym.

A w kraju? — Tu pierwsze skrzypce należą do teatrów. Przyznać trzeba, że nie zaspąły okazji i już od jesieni posypały się premiery, bądź oferty repertuarowe opatrzone konkretnymi datami. Na afiszach poważnych ośrodków teatralnych jak i w ambitnych, mniejszych miastach znalazły się sztuki rzadziej grywane, m. in. „Kroniki królewskie” (premiera w warszawskim Teatrze Dramatycznym), „Legion” — zapowiedź Katowic, „Protasios i Laodamia” — zapowiedź Poznania. Najciekawsze przedstawienia sztuk Wyspiańskiego pokazywane będą w Krakowie. Przegląd poświęcony będzie z sympozjum omawiającym nowatorstwo ich twórcy.

Uroczysta inauguracja setnej rocznicy urodzin Stanisława Wyspiańskiego, wystawieniem na scenie Teatru Narodowego w Warszawie dwóch w ciągu jednego wieczoru sztandarowych pozycji, „Wesele” i „Wyzwolenia” odbędzie się 15 stycznia.

I. SOL.

Przeglądamy Prasę

KRĘTE ŚCIEŻKI
WALKI Z REWIZJONIZMEM

Pod tym tytułem „Prawo i Życie” publikuje polemiczny artykuł Wojciecha Pomykały, który — rozpatrując różne aspekty walki z rewizjonizmem — wyraża swoje stanowisko w sprawie sugerowanego przez niektórych odpersonifikowania walki z rewizjonizmem.

„Trudno — stwierdza autor — przystać na propozycję odpersonifikowania walki z rewizjonizmem, na minimalizowanie błędów, na zamazywanie linii podziału. Przyjęcie tych propozycji przyniosłoby daleko idące negatywne skutki.

Odpersonifikować bowiem walkę z rewizjonizmem — znaczy pozbawić ją niezbędnej skuteczności (...). Wypadnie zapytać w jaki sposób można prowadzić skuteczną walkę z rewizjonizmem, nie atakując poglądów konkretnych rewizjonistów, nie prowadząc polemiki i w efekcie nie potępiając twórczości i postaw konkretnych rewizjonistów? Jeśli dziś o-

ceniamy, że na przestrzeni wielu lat po 1956 r. walka z rewizjonizmem była nie do statecznie skuteczna jest to m. in. rezultatem braku jej konkretyzacji, ogólnikowości ujętej formuły, braku egzemplifikacji niezbędnej z punktu widzenia jej skuteczności. Dlatego też teza zmierzająca faktycznie do odpersonifikowania walki z rewizjonizmem jest w gruncie rzeczy próbą skierowania tej walki na bezdroża, pozbawienia jej niezbędnej skuteczności”.

Nie sposób przy okazji nie zauważyć, że konkretność jest warunkiem powodzenia zamierzeń w każdej dziedzinie.

PRZED ZJAZDEM LITERATÓW

Wiele miejsca w czasopiśmie zajmują sprawy literatury i środowiska literackiego. Przed zbliżającym się luto wym zjazdem delegatów Związku Literatów Polskich w Bydgoszczy, Władysław Machajek pisze w „Życiu Literackim” na temat potrzeby znormalizowania poglądów na stosunek do literatury i na stosunek odpowiedzialnych za swe słowa i czyny literatów do pewnych spraw, w tym i mecenatów.

„Nieporównywalne do żadnych innych zadania jakie obarczają pisarzy — pisze Machajek — i ciężar gatunkowy zależności piękna socjalizmu od uskrzydlaającej i upiększającej mocy słowa powinny dawać argumenty perswazji działającej przeciw wyolbrzymieniu byle czego do

rang konfliktów. Sprzeczności? Owszem, A dlaczegoż by sfera tylko pewnych słowników miała być wolna od nich? Właśnie idealistyczne nawyki z czasów komendowania ciąży niekiedy, dwustronnie, na przyczynach bocznych się. A dla czegoż by to delegacja pisarzy postulująca np. podwyżkę swojej „stopy życiowej”, po częściowym tylko załatwieniu sugestii, miała się poczuć od razu dyskryminowaną i sposponowaną w skali prawie międzynarodowej, natomiast inaczej podobny fakt, podyktowany obiektywnymi warunkami, powinni przyjąć np. nauczyciele? Albo: dlaczegoż to uważyć tylko krytyka takich i siłach braków w narodzie, ustroju, rządzeniu ze strony literatów zawarte w obywatelskich, nie przemysłowych i eksportowych wymiarach miałyby być podejrzaną? Słowem: odpowiedzialność za zadania zmusza pisarzy tylko do częstszej konfrontacji zamiarów i spisu pomocy itp. z mecenatem, nigdy zaś do milczenia, i odwrotnie: nasz mecenat partyjny, społeczny państwowy pomagając i inspirując wie i nie wstydy się dawać na to dowody, gdzie się kończy instytucjonalna służba pomocnicza, a gdzie się zaczyna pisarska twórcza samorządność”.

Nad dorobkiem i przyszłością literatury polskiej zastanawia się także Roman Bratny na łamach „Kultury” natomiast „Fakty i Myśli” przyniosą odpowiedź na pytania redakcji, nadesła-

ne przez Tadeusza Holuja, Juliana Kawałca, Jana Koprowskiego, Witolda Nawrockiego i Wiesława Rogowskiego. Redakcja opatrjuje je tytułem „Pisarz w społeczeństwie”.

PÓŁ WIEKU POLSKIEGO FENOMENU PAMIĘTIKARSKIEGO

Pod tym hasłem „Tygodnik Kulturalny” drukuje od pewnego czasu różne wypowiedzi na temat pamiętnikarstwa polskiego. W bieżącym wydaniu znajdujemy tam m. in. wypowiedź redaktora naczelnego poznańskiego „Nurtu” — Krzysztofa Kostyrki. W artykule „Źródło badań naukowych” autor stwierdza:

„Najpilniejsza, jak się zdaje, jest — pisze Kostyrko — sprawa techniczna, zabezpieczenia plonu licznych konkursów, plonu dziś rozproszonych, praktycznie często niedostępnego dla badań. Niezbędne więc jest powstanie centralnego archiwum pamiętnikarstwa, zabezpieczającego zbiory i udostępniającego je zainteresowanym. Uszerebniony zaś hołdem dla pamięci wielkiego uczonego byłoby nadanie archiwum imienia profesora Floriana Znanieckiego. Sądze również, że warto byłoby zastanowić się nad sprawą powołania instytutu pamiętnikarstwa (...). Naukowe opracowanie materiału pamiętnikarskiego rozwijanie badań metodologicznych, merytoryczna opieka nad przeprowadzaniem konkursami, to część zaledwie zadań ewentualnego instytutu”.

Przeszło połowę bieżącego wydania „Życie Literackie” poświęca Stanisławowi Wyspiańskiemu w 100-lecie jego urodzin. „Życie Gospodarcze” po raz pierwszy przygotowało i zapowiada stałą zakładkę, która odtąd pojawiać się będzie dwa razy w miesiącu, pt. „Sprawy ekonomiczne”. W zamierzeniu redakcji ma to być trybuna 40-tysięcznej rzeszy członków Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego. W pierwszym wydaniu tej zakładki pomieszczono m. in. artykuły o zadaniach ekonomistów po V Zjeździe PZPR, Planowaniu wewnątrzprzemysłowym, wewnątrzprzemysłowym rachunku gospodarczym i kierunkach prac PTE po V Zjeździe. „Argumenty” kontynuują prezentowanie sylwetek towarzyszy wybranych przez V Zjazd PZPR — członków centralnych władz partyjnych, bezpośrednio zatrudnionych w produkcji. Tym razem Alicja Sienkiewicz przedstawia Henryka Łukaszczyńskiego — członka KC (a nie zastępcę — jak mylnie podano w podpisie pod zdjęciem), mistrza ślusarskiego z Zakładów H. Cegielski. W „Tygodniku Demokratycznym” Janina Jamrógievicz po dejmując problem prywatnej praktyki lekarskiej, opowiadając się przeciwko administracyjnemu likwidowaniu prywatnej praktyki lekarskiej, ale jednocześnie — za czuwaniem nad tym, by nie wykraczała ona poza szeroko pojęte zasady etyki lekarskiej.

LEKTOR